

Kronika tygodniowa.

Dzięki obecnej wojnie zmieniają się więc i zasady tak zwanej „geometrii małżeńskiej”. Popularnym był dotąd „trójkąt małżeński”, mający trzy boki, dwa rodzaju męskiego (mąż i przyjaciel domu), jeden zaś żeński (żona). Trójkąt ten mógł się z czasem zamienić w wielobok, mniej lub więcej umiarowy, wzrastając zaś ilość boków należała stale do rodzaju męskiego. Odtąd ma być zupełnie inaczej. Po skończeniu wojny trójkąt ma dalej pozostać, ale ulegnie tej zasadniczej zmianie, iż tylko jeden bok jego będzie należał do rodzaju męskiego, dwa zaś pozostałe przypadną drugiemu rodzajowi, to jest żeńskiemu. Czyli, innymi słowami, gdy pokój nastanie, każdy mężczyzna, czując się na siłach, będzie mógł pojąć dwie żony, by w ten sposób przyczynić się do zapobieżenia wyludnieniu. Będzie to pewien rodzaj świadczeń wojennych, do których obowiązani będą tak uznani za zdalnych do służby w pospolitem ruszeniu z bronią w rękę, jak i bez broni.

Niemieckie gazety już dawno o tem wspominały, że po ukończeniu wojny trzydziestoletniej, która ludność Europy porządnie przetrzebiła, widział się rząd niemiecki zmuszonym do chwycenia się tego radykalnego środka, na który się Stolica apostolska zgodziła, a wyniki były bardzo pomyślne, czego dowodem liczba ludności, z roku na rok wzrastająca. Ponieważ obecna wojna spowodowała daleko większy ubytek zjadaczy chleba, w interesie odbudowy kraju leży powtórzenie dawniej wypróbowanych i za skuteczne uznanych sposobów, nawet w jeszcze szerszym zakresie. Za zasadę więc nowej geometrii małżeńskiej mogłoby być przyjętym, jeżeli już nie czworobok o trzech bokach żeńskich, to bodaj trójkąt, ale nie według starej normy.

Mógłby kto powiedzieć, że ludzkość cofa się w swym rodzaju, skoro, dzięki wojnie, wróciła do handlu zamiennej, a teraz do wielożeństwa, ale tak nie jest. To tylko chwilowe środki zaradcze, mające na celu naprawienie złego, które, po nastaniu normalnych stosunków, stracić mają swą ważność i wyjść z obiegu.

Ponieważ za pismami niemieckimi powtórzyły i polskie dzienniki wiadomość o owym urzędowo uznanem wielożeństwie, zajął się nim i kronikarz „*Nowości ilustrowanych*” i zastanawiał się nad tem, czy osiągnięte ono spodziewane skutki, wyniki zaś swych roztrząsań miał zamiar pomieścić w pomyślnym dziele, o ile naturalnie znajdzie na nie nakładcę.

Wprawdzie rodzona jego połowica, czcigodna Weronika, wyczytawszy także o tem wzmiankę w jednym z pism codziennych, przerwała swój wypoczynek na wsi, i spadła, niby grom z jasnego nieba, by w porę jeszcze zaradzić złemu, to jednak kronikarza bynajmniej nie odwiedziła od powziętego zamiaru, zwłaszcza, że ma już w tym celu przygotowany i papier i atrament, a natchnienie autorskie przyjdzie samo ze siebie.

Przyznam się szczerze, że zrobiłem, jak to mówią, wielkie oczy, gdy ujrzałem ją lepszą połowę, wchodzącą do mieszkanka. Spodziewałem się jej powrotu dopiero z końcem miesiąca, zaraz też przyszło mi na myśl, że musiało zajść coś ważnego, co ją zmusiło do przyspieszenia powrotu. Wiem, że jest zapaloną wielbicieleką pięknej polskiej jesieni, nawet z deszczem, błotem i zimnem, jak obecna, wiedziałem także, że, bawiąc na wsi, zajmuje się i aprowizacją i skupuje zapasy artykułów spożywczych, gdzie może, by w ten bodaj sposób uchronić siebie i rodzinę od głodowej śmierci. Sam jej nawet posłałem z Krakowa kilka paczek fajkowego tytoniu, ułatwiającego bardzo pertraktacje handlowe na wsi.

— Nie spodziewałeś się mnie?... Prawda? — zawołała zaraz na wstępie, rzucając się mi całą pełnią swych wdzięków w objęcia.

— Oczywiście! — odparłem, ocierając nos i pióro, cierpię bowiem na katar (bardzo niewinna słabość, ale dotąd jej wiedza lekarska ujarzmić nie zdołała!), a zajęty byłem właśnie pracą literacką. Spisywałem mianowicie bieliznę, by ją, w jej zastępstwie, oddać do prania.

Po powitaniu się serdecznem, jak przystało kochającemu się małżeństwu, zapytałem ją z kolei:

— I cóż, jeśli można wiedzieć, przyspieszyło twój powrót do Krakowa?

— Wielożeństwo!... — odrzekła, nie owijając bynajmniej w bawelnę. — Wyczytałam w „*Kurjerka*”, że po wojnie wolno będzie każdemu mężczyźnie mieć dwie albo nawet trzy żony, więc bałam się, byś, korzystając z mej nieobecności, nie przedsięwziął jakich przedwstępnych kroków... Żal mi było, to prawda, wyjeżdżać, gdyż mieszkam u pierwszego zapalcu, ale trudno... spokój domowy przedewszystkiem!

— No, no!... Obawy były przedczesne!... Ja za-

mierzam tą sprawą zająć się teoretycznie, a dopiero później przejść do praktyki...

— Ale ja na to nie pozwolę!... Ja nie zniosę drugiej pani domu pod swym dachem!...

— Uspokój się, mój kotku!... Po pierwsze, to ten dach nie jest twój, tylko gospodarza i jego wierzycieli, a, po drugie, muszę ci się przyznać, że od teorii do praktyki bardzo daleko!...

— Ja ci nawet na teorię nie pozwolę...

— Ciekawy jestem, dlaczego?... Czy nie będziesz zadowolona, gdy kilka tysięcy koron honorarium autorskiego za me dzieło złożę na ołtarzu domowym?

— Co dziś znaczą pieniądze wobec zapowiadanej redukcji?

— W każdym razie lepszy rydz, jak nic! Zresztą, moja droga, nasi sprzymierzeńcy, Turcy, mają po kilka żon i całkiem im z tem dobrze!

Usłyszawszy to, wydeła z politowaniem wargi rzekła uroczyście:

— Mój kochany, z ciebie byłby bardzo lichy Turek!

I tem jednym mnie zagwoździła, bo powiedziała to z przekonania, a nie dlatego, aby mnie urazić.

Jakiś czas myślałem przecież nad dobrami i złymi stronami wielożeństwa, choćby tylko do dwu połowie ograniczonego i doszedłem w rezultacie do przekonania, że, gdy na poczet *plusów* należy zapisać możność wzięcia sobie młodej żony, gdy się ma już starą,

spokój domowy dla męża, gdyż odtąd żony będą się kłóciły między sobą, to na karcie „*ciężarów*” musi być uwidocznił podwojenie wydatków na utrzymanie domu, zbyt ścisła kontrola każdego twego kroku, bo aż przez dwie pary oczu, co zaś najważniejsze... dwie teściowe!

I to ostatnie mnie przekonało. Dwie żony niech się kłócą między sobą, bylebym ja miał spokój (nadarzałaby się nawet sposobność wyjścia, by niecie „przed piekłem domowym”), gdzie je kilka osób, tam jeszcze jedna jakotako się pożywi, ale dwie teściowe, to już nad moje siły!...

Oświadczam więc uroczyście, że do wzięcia sobie za dozoną towarzyszkę życia drugiej Weroniki żadna mnie siła nie zmusi. Choćby to nawet miało być podciągnięciem pod świadczenia wojenne, w uporze wytrwam, bo... zresztą dość mam jednej żony.

Młodzi ludzie, to zupełnie co innego, ci mają wobec kraju swe obowiązki, my, weterani, po części zaś nawet i inwalidzi, wypełniłmy już swą powinność i należy nam się dawno zasłużony wypoczynek.

Zresztą wielożeństwo dobre jest u ludożerców, ale nie u ludzi cywilizowanych. Takiemu panu nie podoba się żona, to ją zje i ma podwójny z tego pożytek, bo pozbył się kłopotu („Baba z wozu, koniom lżej”) i zaspokoił głód, a ty, cywilizowany człowieku, staraj się dopiero o rozwód i płać słono za to adwokatowi.

Powie kto może: „podwójny posag”!... Ja mu znów na to odpowiem, że dziś pieniądź stracił zupełnie na wartości i kiep ten, kto się o niego stara.

Wobec tego wszystkiego muszę więc oświadczyć, iż wspomniane wyżej pomnikowe dzieło o urzędowym wielożeństwie już się nie ukaże, a i ja sam nie zerwę bynajmniej z monogamią, co może zmartwi niektóre z mych zwolenniczek i przyjaciółek politycznych, pragnących połączyć swe losy z moimi. Jak przez sen widziałem już u drzwi pokoju redakcyjnego cały ogonek kandydatek do stanu małżeńskiego z ofertami. Byłby to nieznany dotąd u nas „ogonek małżeński”.

Dzięki jednak Bogu, obejdziesz się bez niego, do grobowej deski pozostanę wiernym rycerzem mej jedynej Weroniki i ślubowanej jej raz wierności za żadną cenę nie złamię. Niechaj to jednak nikogo nie zraża, ja przemawiam tylko w swem własnym imieniu (i pod natchnieniem Weroniki!... przyp. zecera).

Gdyby kto chciał wiedzieć, kiedy nastąpi ogłoszenie urzędowe wielożeństwa za dozwolone, odpowiem mu, że po ukończeniu wojny, kiedy tego zaś można się spodziewać, to już nie wiem. Chyba po ogłoszeniu przez Wilsona nowej pożyczki wojennej w Ameryce, zapowiedziana bowiem na 24 października „wolnościowa” ma posłużyć tylko do pokazania światu, że Stany Zjednoczone gotowe są do wszelkich poświęceń, byle tylko wojnę skończyć, to jest potrzebują na razie pieniędzy na zbrojne wmięszanie się w konflikt światowy. Subskrybentów nie powinno braknąć. Amerykanie dość już na wojnie zarobili pieniędzy, część ich mogą więc złożyć w ofierze Molochowi wojny. Skoro zaś pożyczka „wolnościowa” ma być przeznaczoną na dalsze prowadzenie wojny, następna „wojenna” powinna być obrócona na cele czysto pokojowe.

Ciekawy jestem bardzo, czy i Kraków nie rozpisce jakiej pożyczki, dajmy na to „deficytowej”, gdyż dowiadujemy się z bólem serca, że budżet miejski zamyka się deficytem czteromilionowym, czyli, cierpi na niedomykalność. Ale to ma być objawem pocieszającym, świadczącym, że Kraków może być zaliczonym do rzędu wielkich miast. Wiedeń wykazuje deficytu kilka-

dziesiąt milionów, Lwów kilkanaście, Kraków może sobie pozwolić na kilka. Ta tylko mała różnica, że gdy Wiedeń na załatwienie dziur budżetowych otrzyma wybitną zapomogę rządową, Lwów i Kraków pozostawiony będzie samemu sobie. Tak było z funduszem na zwalczanie gruźlicy. Inne kraje koronne otrzymały po kilka milionów, Galicya, gdzie suchotników jest najwięcej, zaledwie mały ochłap i obietnicę, że może później, gdyż na razie brak.

Na bieżący tydzień przeznaczyła Rada miasta dyskusję budżetową, co jednak u nas z zasady przechodzi bardzo spokojnie. Referent odczytuje pozycję po pozycyi, radcy drzemają lub kiwają głowami i uchwylają, co im kazano, a gdy się któryś niepotrzebnie odezwie, słyszy zaraz głosy:

— Panie kolego! Niech się pan streszcza! Szkoda czasu... Już dziewiąta, a na mnie czeka żona z kolacją...

Zupełnie inaczej jest w parlamencie. Tam uchwalenie budżetu, do czego potrzebną jest większość, oddana rządowi, daje sposobność wytargowania najrozmaitszych koncesyj, nie też dziwnego, że wszystkie stronnictwa starają się o to, by z niej skorzystać. Nawet i Koło Polskie, które obecnie jest bez głowy (widomej), kusi się o to, ale jakoś nie idzie mu to składnie. Jak powiada wiedeński korespondent jednego z pism, „brak informacji rzetelnej o położeniu, przy wichrowatej linii działania, przybierać zaczyna w chwili obecnej — a właśnie sprawa budżetowa jest na tapecie — formy katastrofalne. W czasie od 27. września Koło Polskie podejmowało już trzykrotnie sprzeczne z sobą uchwały co do stanowiska wobec rządu, co jest objawem wprost niepokojącym”.

Ot, zwykłe sobie galicyjskie „bezholowie”, z którego korzysta rząd i zbywa nas tylko obietnicami, a my przyjmujemy je jako brzęczącą monetę. A polityków mamy przecież nad Dunajem wielu i to lubiących często i dużo mówić, do których dałyby się zastosować słowa św. Pawła: „Tenci jest jako miedź brząkająca i cymbał brzmiący”...

Niestety, hałasu rzeczywiście wiele, ale pożytku z tego bardzo mało. Posłuszne woli wyższej, toczy się Koło zawsze tak, jak mu każą. Niemcom przecież i to się nie podoba, bo stale twierdzą, iż Galicya otrzymuje z zasady więcej, niż na to zasłużyła, bo to tylko kula u nogi monarchii. Gdy jednak rozchodziło się o jej wyodrębnienie, nagle tak ją pokochali, iż w żaden sposób nie chcieli się na to zgodzić, by się mieli z nią rozłączyć. Widocznie więc i ta biedna Galicya coś warta, skoro tak o nią zabiegają, *ergo* zasługuje na życzliwsze traktowanie.

Kilkakrotnie już wspominałem o tem, że pewna kasta ludzi, to jest ci, którzy zrobili już, robią i pragnęliby jeszcze dalej robić interesy na wojnie, życzyłyby sobie, aby ona nigdy się nie skończyła, ale zdystansowała swą długością nawet trzydziestoletnią. Dowodem tego post i modlitwa, nakazane przez zbór izraelski na dzień 15. października, celem uproszenia pokoju. W synagogach były pustki, a większość wyznawców Mojżesza oddawała się obżarstwu, zmiatając katolikom z przed nosa nawet trefne przysmaczki. Było to niejako powtórzenie owego tańca, jaki w swoim czasie urządzili sobie biblijni Izraelici około złotego cielca. I dziś ten „złoty cielec” wybił się też na pierwszy plan i każdy prawie składa mu pokłony, nie też dziwnego, że końca wojny nie pragnie, bo wówczas z nadzwyczajnymi dochodami trzeba się będzie pożegnać. Pościli w owym dniu tylko ci, którzy pościć musieli, nie mając za co kupić sobie „papu”, ale i oni myśleli nad tem, czy nie dałby się przecież zrobić jakiś dobry interesik, bodajby na małą skalę.

I nie dziwiłbym się wcale samemu sobie, choć do narodu wybranego nie należę, gdybym, przejawiając się duchem czasu, zabrał się też do handlu. Mam nadzieję, iż poparliby mnie P. T. Czytelnicy, zwłaszcza, że kontentowałbym się małym zyskiem i w tym kierunku polecam się na wszelki wypadek ich łaskawej pamięci względem.

Na razie moje „operacje handlowe” w wojennym czasie ograniczają się do sprzedania starego, ale w każdym razie przedwojennego, więc w dobrym gatunku parasola. Nabywca nie był przecież zadowolonym, ani z „towaru”, ani z ceny kupna, puścił go też zaraz w dalszą drogę, odsprzedając „z małym zyskiem” innemu znajomemu, który widocznie robi doskonałe interesy w tym ciężkim czasie, skoro sobie może pozwolić na taki zbytek, jak nabycie parasola. Widzą też z tego P. T. Czytelnicy, iż nawet tak niewinny przedmiot, jak parasol, może się stać przedmiotem handlu łańcuchowego i że „handlujących” u nas nie brakuje. Chcąc znaleźć jednostkę, która nie miałaby zamiaru zrobić interesu na wojnie, trzeba byłoby pójść w ślady Dyogenesa i w jasny dzień szukać jej z latarnią po mieście.

